

Krzysztof Wasilewski

Niedawna dziesiąta rocznica śmierci Jerzego Giedroycia spotkała się z raczej słabym odzewem ze strony rodzimych autorytetów. Nawet te środowiska dziennikarskie i polityczne, które uznają się za uczniów redaktora naczelnego paryskiej „Kultury”, bardzo nieśmiało i zdawkowo skorzystały z okazji, aby przypomnieć społeczeństwu o wielkiej spuściźnie wybitnego emigranta. Czyżby polska demokracja, osadzona w strukturach europejskich, całkowicie już wyczerpała potencjał myśli Giedroycia? A może po prostu boimy się odkryć, iż nawet po tylu latach nadal nie potrafimy korzystać z jego nauk.

Tuż po 1989 roku każdy szanujący się polityk przyznawał się do czytania paryskiej „Kultury”. O wielkim wpływie, jaki wywarł na ich życie miesięcznik chętnie mówili zarówno Tadeusz Mazowiecki, jak i Lech Wałęsa czy Aleksander Kwaśniewski. Sam Giedroyc, choć pozostawał na emigracji, wciąż był obecny w krajowej debacie. Nie osobiście, lecz – jak to zawsze zwykł czynić – poprzez wywiady i teksty swoich współpracowników. Każdy czytał Giedroycia, mało kto go rozumiał. Pod tym względem jego los przypominał los Jana Pawła II. Słowa polskiego papieża wplatali w swoje wystąpienia rządzący każdego szczebla, niezależnie czy mówili o członkostwie w Unii Europejskiej czy o budowie kanalizacji w gminie. Jaki był tego rezultat, wiadomo. Dzisiaj niewielu potrafi zacytować choćby najmniejszy fragment z bogatego zbioru encyklik, listów czy książek, które pozostawił nam Jan Paweł II, ale każdy pamięta, że „nasz papież” lubił wadowickie kremówki.

Początek kłopotów polskiej klasy politycznej z Jerzym Giedroyciem sięgał początku Trzeciej Rzeczypospolitej. Nie dość, że redaktor naczelny „Kultury” nie skorzystał z ponawianego raz po raz zaproszenia do powrotu do kraju, to jeszcze nadał sobie prawo do jego cenzurowania. Tego dla niektórych przedstawicieli rodzimej elity było zdecydowanie za wiele. O ile bowiem krytyka PRL-u była dopuszczalna, a wręcz wskazana, o tyle niepochlebne słowa wobec nowej Polski co bardziej gorliwi patrioci uznali za zdradę interesu narodowego. Czarę goryczy przełał zaś brak zgody Giedroycia na wymazanie z najnowszych dziejów kraju lat 1945-1989. „PRL – przypominał – był jednak w pewnym sensie państwem polskim i na niektórych odcinkach dokonał rzeczy pożytecznych dla interesów Polski”. Dziś takie stwierdzenie zapewne nie wywołuje większych emocji. Natomiast w początkowym okresie budowy III RP pozytywne słowa o Polsce Ludowej urastały do rangi herezji. Sam Giedroyc z bohatera powoli stawał się enfant terrible rodzimej publicystyki.

Nikt nie dostrzegł, że decyzja Giedroycia o pozostaniu w Maisons-Laffitte była jego najgłośniejszym sprzeciwem wobec kierunku, w którym rozwijała się Polska. Wiele krajowych autorytetów kołło swoje sumienia, tłumacząc tę decyzję Giedroycia jego zaawansowanym wiekiem. Obóz „Solidarności”, niepodzielnie rządzący krajem w pierwszych latach transformacji systemowej, był zbyt zajęty wewnętrznymi rozgrywkami, aby słuchać rad zrędlatego starca z dalekiej Francji. Inaczej jego liderzy usłyszeli by kilka gorzkich słów. „Nową elitę rządzącą cechuje po prostu brak dobrych manier” – Giedroyc skarżył się w rozmowie z Krzysztofem Pomianem w grudniu 1991 roku. Jego zdaniem postawę niedawnych opozycjonistów cechował tani populizm, ukierunkowany na upodlenie politycznych przeciwników. Między innymi dlatego całkowicie zniechęcił się do „Solidarności”, której przecież nigdy nie darzył wielką sympatią. „Dziś jest najwyższy czas – przekonywał – żeby odłożyć >>Solidarność<< do archiwum, a nie traktować jej jak dziurawego parasola, pod którym chce się chować różne rzeczy”.

Giedroyc nigdy nie dołączył do grona tych emigracyjnych polityków, którzy jak Zbigniew Brzeziński czy Jan Nowak-Jeziorański, największe zagrożenie dla młodej demokracji upatrywali

w postkomunistycznej lewicy. Po okresie niekończących się sporów i partyjnych rozgrywek w łonie solidarnościowych gabinetów, zwycięstwo SLD w przyspieszonych wyborach parlamentarnych w 1993 roku Giedroyc przyjął jako szansę na polityczną stabilizację. Szybko jednak i do tych rządów się rozczarował. Redaktor naczelny „Kultury” ganił koalicję SLD-PSL za nierealizowanie swojego socjaldemokratycznego programu. Jego zdaniem lewica powtarzała błędy swoich poprzedników, godząc się na bizantyjski styl sprawowania władzy i brak szacunku dla społeczeństwa. „Podkreślając stale, że należymy do Europy – pisał w swojej autorskiej kolumnie pt. Notatki Redaktora – coraz bardziej przypominamy kraje afrykańskie czy południowoamerykańskie”.

Lewica w opinii Giedroycia stała przed trudnym zadaniem ustrzeżenia Polski przed nawrotem do zaściankowości. Jego zdaniem skrajny konserwatyzm niektórych środowisk postsolidarnościowych, wzmocniony przez wciąż jeszcze silny w narodzie antysemityzm, mógł na długo odsunąć państwo od zachodnich standardów. Z tego też powodu nie bał się poprzeć – choć niejednoznacznie – Aleksandra Kwaśniewskiego w starciu z Lechem Wałęsą w wyborach prezydenckich w 1995 roku. W swoich tekstach Giedroyc nawoływał do skreślenia obu kandydatów, co musiało działać na korzyść lewicowego pretendenta. „Nie ma powodu by kwestionować socjaldemokratyczne przekonania Kwaśniewskiego” – pisał na łamach „Kultury”. W Wałęsie widział zaś zakochanego w sobie trybuna ludowego, który własne ambicje przedkładał nad interesy państwa. Zdaniem Giedroycia, historyczne dokonania nie mogły usprawiedliwiać bieżących zaniedbań. Przekonywał, że jak najszybciej należało zakopać podziały z przeszłości, pozostawiając jej ocenę zawodowym historykom. Dzielenie polityków według ich przynależności partyjnej sprzed 1989 roku uważał za poważny błąd, niszczący polską demokrację.

Takich polskich słabości o destrukcyjnym dla państwa charakterze, Giedroyc widział więcej. Dużą część swoich Notatek Redaktora, które spisywał od 1993 roku, poświęcił pozycji Kościoła katolickiego w Polsce. Częstym bohaterem autorskiej kolumny był ówczesny biskup polowy Wojska Polskiego Sławoj Leszek Głódź. Zdaniem Giedroycia wpływowy hierarcha uosabiał wszystko to, co najgorsze w polskim Kościele, a więc integryzm, mieszanie się do polityki, czy zamiłowanie do luksusu. „Działalność biskupa polowego, gen. Głódzia – pisał w jednym z łagodniejszych swoich tekstów – wzbudza coraz więcej zastrzeżeń”. Były to gorzkie słowa, które część prawicy przyjmowała z rozczarowaniem. Wzmogły się, powtarzane już od dawna, plotki o żydowskim pochodzeniu Giedroycia i jego przynależności do masońskiej loży. Sam redaktor naczelny „Kultury” niezbyt przejmował się tą krytyką. Wymawiał prawicy klerykalizm, dając za przykład sposób wprowadzenia nauki religii do szkół. Podobnie zapatrywał się na potajemnie wynegocjowany przez rząd Hanny Suchockiej konkordat. „Wydaje mi się – przekonywał – że zatwierdzenie konkordatu przed uchwaleniem konstytucji byłoby szkodliwe”. Wzorem starego piłsudczyka, którym przecież nigdy nie przestał być, Giedroyc stawiał dobro państwa ponad wszystko, także ponad interesy Kościoła.

Klerykalizm nie był jedyną przywarą polskiej klasy politycznej. Równie fatalny w skutkach dla stanu państwa był grzech pychy. Z francuskiej perspektywy Giedroyc o wiele lepiej widział i rozumiał sprawy międzynarodowe. Doskonale wiedział, że nawet najpiękniejsze słowa zachodnich polityków rzadko przekładały się na realne działanie z ich strony. Tymczasem większość partii o solidarnościowym rodowodzie zachowywała się tak, jak gdyby Polska samodzielnie decydowała o układzie sił w Europie. Dlatego politykę zagraniczną Warszawy Giedroyc oceniał jako „arogancką i niekonsekwentną”, szczególnie w kontaktach z Rosją. W Notatkach Redaktora, przypominał, że to właśnie w poprawnych stosunkach ze wschodnim

moceństwem leżał klucz do członkostwa Polski w NATO i Unii Europejskiej. Jednocześnie domagał się od rządzących zmiany nastawienia wobec pozostałych sąsiadów. Jak trafnie przypominał, budowanie przyjacielskich relacji jedynie poprzez oficjalne spotkania państwowych przywódców nie zmniejszało braku zaufania pomiędzy narodami. W tym celu Polska powinna skoncentrować się na wymianie kulturowej i naukowej. Jednak na ten rodzaj dyplomacji – frustrował się Giedroyc – rodzimi decydenci byli zbyt niecierpliwi. „Coraz bardziej dominują tu – pisał o polskiej polityce zagranicznej – nie względy merytoryczne ale układy partyjne, miejsce honorowych zsyłek dla ludzi niewygodnych czy zwykłe kumoterstwo”.

Z podobnym sprzeciwem Giedroycia spotkała się polska polityka historyczna prowadzona po 1989 roku. Ubolewał, że uroczystości rocznicowe zamiast do budowania w społeczeństwie poczucia dumy z własnej historii, były wykorzystywane do bieżącej walki politycznej. W Notatkach Redaktora pisał: „Jest zjawiskiem charakterystycznym, że rządy tzw. Trzeciej Rzeczypospolitej przywiązują nadmierną uwagę do prawdziwego zalewu rocznic, obchodów, sprowadzania zwłok etc., organizując je głównie dla siebie z wykluczeniem prawdziwych kombatantów i społeczeństwa”. W świetle katastrofy smoleńskiej, szczególnego brzemienia nabierają słowa Giedroycia o Katyniu. Mianowicie uważał on, że obchody upamiętniające pomordowanych oficerów powinny „mieć charakter skromny, z udziałem episkopatu polowego wszystkich wyznań i rodzin zamordowanych”. Tymczasem – ubolewał szef „Kultury” – okazywało się, że znowu „przygotowuje się wielką uroczystość z udziałem Prezydenta, rządu i różnych decydentów”. Pisząc te słowa Giedroyc miał na myśli wydarzenia związane z otwarciem polskiego cmentarza w Katyniu w 1995 roku. Obawiał się, że nawet to wyjątkowe dla historii kraju miejsce będzie w kolejnych latach zarzewiem sporu politycznego. Wydarzenia z tego roku boleśnie przyznały mu rację.

Ostatni tekst Giedroycia, „Kultura” wydrukowała w numerze wrześniowym z 2000 roku. Choć siły szybko go opuszczały, on nie przestawał interesować się sprawami krajowymi. Krytykował przygotowywaną przez AWS nowelizację, która miała rozszerzyć uprawnienia kombatanckie na działaczy opozycji demokratycznej z lat 1968-1989. „Klasyczne TKM” – skwitował krótko. Pisał też o Adamie Michniku, biorąc go w obronę przed chamskimi oskarżeniami ze strony skrajnej prawicy. Jednak prawdziwą miarą wielkości Giedroycia było to, że obok spraw znajdujących się na świeczniku, potrafił zauważyć także te, które inni pomijali. „Jak prasa donosi, warszawskie metro zamówiło w Hiszpanii 24 wagony. Będą włączone do taboru metra już we wrześniu bieżącego roku. Czy nie można było zamówić ich w kraju” – zastanawiał się tuż przed śmiercią. Serce Jerzego Giedroycia przestało bić 14 września 2000 roku. W wielu okolicznościowych komentarzach jego zwolennicy, jak i przeciwnicy pisali z uznaniem, iż szef „Kultury” redagował nie tyle miesięcznik, co Polskę. W 2006 roku – w setną rocznicę jego urodzin – decyzją parlamentu obchodzono rok jego imienia. Skromnie. W stosownej uchwale sejmowej zapisano: „Jerzy Giedroyc [pisownia oryginalna] całe życie poświęcił sprawie niepodległości Polski. Polski tolerancyjnej i nowoczesnej, ale też – szanującej własne tradycje narodowe”. I tak politycy uznali swój dług wobec wielkiego emigranta za spłacony. Ani wtedy, ani później nikt nie zdobył się na szczerą odpowiedź: dlaczego Jerzy Giedroyc nigdy nie powrócił do ojczyzny. Czy gdyby dożył dnia dzisiejszego zmieniłby swoją decyzję? Wątpliwe. Wciąż nam daleko do ideału, który on sobie wymarzył. Czasami nawet dalej niż za jego życia...

Krzysztof Wasilewski doktorant w Instytucie Historii Uniwersytetu Zielonogórskiego